



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

## W PUSTYNIACH AUSTRALII

PRZEZ

*Władysława Umińskiego.*

(Dalszy ciąg).



Śmiałek, któryby się odważył zapuścić w tamte strony, ginie z pragnienia wśród olbrzymich równin czerwonego piasku, zięjących palącym wiatrem, albo pada z wycieńczenia zmuszony przebywać niedostępne, strome i wyniosłe łańcuchy, górskie. Jeżeli napotka przypadkiem w kamienistej pustyni jezioro, niechaj się nie cieszy zawczasu, bo znajduje

w nim prawdopodobnie słoną wodę, która nie zdoła ugasić ognia, który go trawi.

Dajmy na to, iż posiadając wodę i żywność, nie obawia się niedostatku. Czyż zdoła wtedy przebyć owe niegościnnie okolice?

Wątpić o tem należy. Zwalczywszy głód i pragnienie,

przetrzymawszy wiatry palące, przebiegłszy kamieniste pustynie na grzbiecie wielbłąda i piaszczyste, solą przypruszone równiny, przedarłszy się przez strome góry, będzie się musiał w końcu cofnąć przed straszliwym scrubem.

Co to jest scrub?

Krótko mówiąc, to morze kolczastych krzewów, nieprzezwyciężona zaporą dla każdego żyjącego stworzenia. Scrub eukaliptusowy, t. n. Malley scrub, składa się z karłowatego *Eucalyptus dumosa*; przez ten gęszcz zbity, dorastający zwykle wysokości człowieka, z trudnością można sobie przerąbać siekierą przejście.

Malley scrub nie obawia się ani suszy, ani ognia; stalowe ostrza tępią się na jego

czerwonych, gładkich, sterczących sztywno do góry gałęziach.

Z wysokości, Malley scrub przedstawia się oku, jak niezmierny, szaro-zielony ocean, rozpaczliwie monotonnej roślinności, usiany tu i owdzie wyspami nagiego, czerwonego piasku.

Napróżno szukałbyś tutaj śladów życia, scrub jest martwą pustynią, której unikają starannie wszystkie żywe stworzenia; jedynymi jego mieszkańcami są chyba węże jadowite, jaszczurki i dokuczliwe owady.

Malley scrub w niektórych okolicach wyrasta na 5 — 6 metrów, i pojedyncze drzewka, składające to morze roślinności, mają pędy nagie od spodu i dopiero u szczytu porośnięte gęstym, świecącym i gładkim liściem. Przez taki scrub, jak było wzmiankowane, można się jeszcze przedrzeć na uparte go. Inaczej jednak mają się rzeczy z innym gatunkiem: — mulga-scrubem.

Mulga (to znaczy!) nie jest tak twardym i nieczułym na ogień, jak malley scrub, ale za to grozi jadowitymi kolcami tym, którzyby się ośmielili doń zbliżyć. Kolce owe nosi *Acacia ancura*, panująca tutaj obok eukaliptusa. Drzewko to, posiadające niski, dziwnie powykręcany pień i powikłane gałęzie, tworzy gęstwinę tak zbitą, iż jeden chyba wąż zdoła się przesłiznąć do jej wnętrza. Wędrowiec, napotkawszy obszar pokryty scrubem, znajduje się nagle wobec nieprzezwyciężonej zapory. Jeżeli wypowie wojnę temu zastępowi złośliwych roślin, i rzuci się na nie z toporem, biada mu! Legnie bowiem śmiertelnie pokłuty, przebywszy kilkadziesiąt kroków zaledwie.

Kilkadziesiąt kroków! Co znaczy ta maleńka przestrzeń w obec setek kilometrów, zajmowanych przez scrub?!

Doświadczony podróżnik nie potrzebuje nawet walczyć z tym kolczastym oceanem roślinności, lecz roztropnie się cofa i stara się go obejść, zbaczając nieraz na kilkadziesiąt mil z obranego kierunku.

Trudno uwierzyć, że w tych pustyniach mogą żyć jakiegokolwiek bądź istoty, oprócz węzów, jaszczurek i owadów. Tymczasem wewnątrz Australii zaludnionem jest dość licznymi plemionami krajowców, którzy, dzięki swemu zadziwiającemu sprytowi i znajomości przyrody, potrafią zdobyć sobie pożywienie nawet wespół scrubu i diun piaszczystych.

Nieszczęśliwi ci są zaledwie nędznymi karykaturami człowieka, wielkie, wydęte od niestrawnych pokarmów brzuchy, chude i wątle kończyny, duże głowy, czynią z nich nieledwie potworów.

Czem żyją mieszkańcy pustyni, w których Burke i inni podróżnicy znaleźli śmierć głodową? Skąd biorą wodę, której tam niema? Są to tajemnice trudne do odgadnienia.

Bądź co bądź dzicy istnieją w czeluściach Australii. Wszyscy podróżnicy musieli staczać z nimi uparte walki, z których nie zawsze, jak widzieliśmy, wychodzili zwycięzko. Tak więc przedstawiają się w ogólnych zarysach okolice, w które zapuszczała się nasza mała karawana.

A więc Dugan i jego towarzysze zdołali wyjść cało z niebezpieczeństwa, w którym widzieliśmy ich niedawno? Tak, i zawdzięczali to pomysłowości Toma.

Pastuch, ujrawszy pożar, wzniecony przez chciwych zemsty krajowców, postanowił uciec się do radykalnego środka: odeprzeć ogień ogniem.

Podróżni nasi, idąc za jego radą, ogołocili pospiesznie z trawy sporą przestrzeń naokoło zajmowanej przez siebie skały, poczem sami podpalili łąkę.

Pożar, będący ich dziełem, stworzył rychło obszerne pogorzelsko, na którym karawana znalazła schronienie przed powodzią płomieni i dymu, zbliżającej się od strony lasu.

Ogień, mający przyprawić o męczeńską śmierć naszych podróżnych, musiał, rzecz prosta, zagasnąć, dla braku palnego materiału, który stał się na kilka minut przedtem pastwą jego antagonisty.

Uniknąwszy w ten sposób skierowanego przeciwko nim zamachu, nasi podróżni, wśród nocnych ciemności, bez przeszkody ze strony wrogów, powrócili do obozu, i w kilka godzin potem znajdowali się już daleko od miejsca, gdzie się odbył tak dramatycznie zakończony turniej.

W trzy tygodnie po ostatnich wypadkach odnajdujemy naszą karawanę zdalą od zamieszkałych okolic Queenslandu, w samem sercu pustyni, którą tak posępnie barwami odma-

lowali rozmaici podróżnicy. Przebywszy szybkim marszem olbrzymie stepy, rozciągające się na południe od pasma Mac Kinleya, Dugan dotarł ze swymi towarzyszami do brzegów rzeki Herberta, poza którą leżą już przestrzenie, oznaczone białą plamą na najlepszych kartach geograficznych.

Wszyscy członkowie wyprawy, pomimo niewygód długiej podróży, są w doskonałym zdrowiu i nie utracili ani trochy z tego zapału, jaki ich ożywił w chwili wyjazdu.

Doktor Halm posiada już kilkaset prześlicznych okazów entomologicznych, Dugan zrobił kilka ciekawych spostrzeżeń, a Jerzy, przy pomocy dzielnego Toma i Boba, ubił nieprzeliczoną ilość zwierzyny, która przyczyniła się znakomicie do zaoszczędzenia zapasów, zabranych na drogę.

Owe trzy tygodnie upłynęły bardzo monotennie, wespół nieprzejranych obszarów, porośłych kępami ostrej trawy i rojów naprzykrzonych much, z którymi nasi podróżni musieli toczyć nieustanną walkę.

Nieznosne te owady tłoczyły się do twarzy, do ust, do oczu, do nosa, siadały setkami na każdym kawałku pożywienia, otaczały chmurą ruchomą wielbłądy i konie, jednym słowem przyprowadzały do rozpaczki nie tylko ludzi, ale i zwierzęta. Gdyby nie muślinowe maski, Duganowi i jego towarzyszom groziłaby niezawodna utrata wzroku. Dodajmy do tej plagi straszliwe, czterdziestokilkostopniowe upały, przed którymi niepodobna znaleźć schronienia pod gdzieś niegdzie rosnącymi w stepie eukaliptusami, a pojmiemy, że podróżni nasi nie mało wycierpieli od czasu opuszczenia Mount Desolation.

Karawana, oprócz znanych nam już osób, liczyła w swym składzie Morborę, dzikiego krajowca z okolic Diamantyny, którego Dugan zdołał namówić do podróży w głąb łądu.

Morbora był to człowiek młody, energiczny i inteligentny, znający doskonale przyrodę pustyni. Nasi podróżni mieli więc nadzieję, że taki przewodnik odda im niemałe usługi w czeluściach Australii.

Wszyscy, nawet Tom i Bob, polubili niebawem czarne go za jego naiwność, szczerłość, prawdziwie dziecinną prostotę i usłużność, jakiej dawał dowody.

Powyższe zalety Morbory zupełnie okupowały jego niesłychane obżarstwo, lekkomyślność i niezdecydowane pojęcia o własności osobistej.

Dnia 13-go grudnia karawana przepawiła się przez rzekę Herberta, wpadającą do wielkiego jeziora Eyre, o kilkaset kilometrów dalej na południe. Przepawa ta odbyła się bez żadnych trudności, gdyż łożysko rzeki, jak zwykle w Australii, było zupełnie suchem, gdzieniegdzie tylko w zagłębieniach koryta, widniały małe kałuże z niezbyt świeżą wodą, którą pojono wielbłądy i napełniano wszystkie worki skórzane.

Ostrożność ta była konieczną; Dugan wiedział bowiem doskonale, iż na zachód od rzeki rozciągają się obszary nadzwyczaj ubogie w wodę.

Karawana, opuściwszy płytkie, piaszczyste łożysko, zapuściła się w okolice smutne i ponure. Zamiast szarozielonych stepów ujrano, jak okiem sięgnąć, piaszczyste, pofalowane, niby wzburzone morze, diuny bez jednego drzewka.

Jałową tę przestrzeń porastała tylko ostra, sztywna trawa,—spinfex (*Triodia irritans*), której wysokie źdźbła kołysały się melancholijnie, sennie, w lekkich podmuchach górnego wiatru.

Ten monotony krajobraz, w połączeniu ze straszliwym upałem, oddziaływał przygnębiająco na usposobienie naszych podróżnych. Wszyscy zachowywali milczenie, drzemiąc na siodle. Jeden tylko Dugan, jadący na czele karawany, był w jakim takim humorze; myśl, iż znajduje się w okolicach niedotkniętych jeszcze nogą białego, podniecała go i ożywiała. Wydobywszy lunetę z futerału, przykładał ją co chwila do oczu, badając godniejsze uwagi szczegóły otoczenia.

Spinifex, z początku rzadki, stawał się coraz gęściej, jak gdyby czuł się w swoim żywiole w pośród tego piaszczystego oceanu, pozbawionego wszelkich śladów wilgoci. Konie stąpały niechętnie, wspinając się co chwila i parszkając żałośnie; ostre liście spinifexu kaleczyły im do krwi nogi.

Zauważywszy to, Dugan kazał poobwijać biednym zwierzętom stopy kawałkiem skóry z kangura, aby je zabezpieczyć od złośliwej trawy.

Smutna to była podróż; dzień wydawał się nadzwyczaj długim naszym wędrowcom; noc zaś zamiast ulgi przynosiła im nowe dolegliwości. Suche powietrze Australii pochłania nadzwyczaj szybko ciepło, w parę godzin więc po zachodzie słońca, temperatura spadała z 46 stopni do dwunastu, a nawet dziesięciu. Po nieznośnym żarze następowało przenikliwe zimno, tak, że wszyscy, nawet pod wełnianymi kołdrami, drżeli całym ciałem. Tom i Bob daremnie szukali paliwa, aby wzniecić ożywczy ogień; oprócz spinifexu na diunach nic innego nie rosło; musiano więc naśladować Arabów z Sahary i używać suchego gnoju wielbłądziego, pomieszanego z trawą, którą ścinano ostrożnie nożami, ażeby się nie pokaleczyć. Opału tego starczyło zaledwie do ugotowania herbaty i upieczenia podpłomyków; o ogrzaniu się nie było co myśleć.

(d. c. n.)

## SZKODNIKI DRZEW OWOCOWYCH.

### I. Żuki.

Zbliża się już chwila, kiedy drzewa owocowe okryją się kwieciami. Im bujniej rozwiną się na nich kwiaty, im więcej ich będzie, tem większe będą nadzieje na urodzaj owoców. A jednak, choć wiosnę od jesieni dzieli ledwie kilka miesięcy, ileż to razy drzewa, które pięknie kwitły, mało wydały później owoców! Złożyć się na to mogły rozmaite przyzyny: lato zbyt suche, lub zbyt mokre, a znacznie częściej jakiesi škodniki, które, objadłszy liście, pozbawiły drzewo możności żywienia się, lub też wprost zakradłszy się do owocu, stoczyły go przedwcześnie, nie dając mu się rozwinąć.

Człowiek niemało czasu i pracy poświęca uprawie drzew owocowych, aby później odebrać zapłatę w postaci smacznych i zdrowych owoców, któremi drzewo wywdziecza mu się w jesieni za podjęte trudy. Nic więc dziwnego, że wypowiada on walkę stworzeniom, które go chcą tej nagrody pozbawić, a nie zapominajmy, że przytem broni drzewo od zguby. Człowiek bowiem, zrywając dojrzałe owoce nie czyni żadnej szkody drzewu, rozmaite zaś gąsienice i owady, zjadając liście i nie dając rozwinąć się pączkom, lub dojrzeć owocom, pozbawiają drzewo soków, a nieraz powodują nawet jego uschnięcie. Człowiek więc postępuje słusznie, że je

tepi; powinien tylko umieć odróżniać prawdziwych škodników od pozornych, pamiętać o tem, że nie jest jeszcze škodnikiem ten, kto uszczknie parę jagódek bez szkody dla drzewa. Nie zasługują więc na tępienie słowiki, kosy, wróble, wilgi i inne owadożerne ptaki, bo bronią one drzewa przed owadami i liszkami, zjadając je w ogromnych ilościach. Wróble tepić można co najwyżej wtedy, kiedy się zbyt rozmnożą i zanadto zjadają owoców, nigdy jednak nie należy im wypowiadać otwartej wojny.

Parę lat temu „Wieczory” podały opis ptaków škodliwych i użytecznych dla ogrodów owocowych. Obecnie chcemy zapoznać naszych czytelników z użytecznymi i škodliwymi owadami; nie jeden z was zapewne posiada własny ogródek i hoduje może drzewka owocowe. Przyda mu się więc wiadomość, którym z owadów może pozwolić rozmnażać się w ogrodzie bez szkody dla drzew, które zaś powinien wytepić.

Ale niestety, między owadami niewiele jest takich, któreby drzewom krzywdy nie czyniły, większość stanowczo jest škodliwą; jedne jada liście, inne taczają drzewo, jeszcze inne żywią się owocami. Szczególniej zaś škodliwe są rozmaite gąsienice i pędraki owadów, odznaczają się one bowiem nadzwyczajną żarłocznością. Należy więc niedopuszczać ukazania się gąsienic, niszcząc starannie jajka, gdzie się je tylko znajdzie. Ponieważ jednak wszystkich jajek nie sposób odnaleźć, więc w dalszym ciągu trzeba poszukiwać liszek i pędraków, a nie darowywać nawet nieruchomym poczwarkom, bo chociaż same one szkody żadnej nie czynią, ale z nich wykluwa się owad dorosły, który składa jajka.

Przy tępieniu owadów pamiętajmy zawsze o jednym: tępić je, bo musimy to robić, unikajmy jednak okrucieństwa bezmyślnego zabijania, dręczenia. Jeśli mamy zabić, zabijmy szybko i nie męcząc; ale nigdy nie pozwalajmy sobie na żadne znęcania się, okrutne zabawki, w rodzaju wbijania żywcem na szpilki. Z tego powodu najłżejsze i najmniej okrutne jest zbieranie jajek, które skutecznie należy w każdej porze roku, ale przedewszystkiem w wiosnę, większość bowiem gąsienic wykluwa się z jajek właśnie na wiosnę. Tym zaś sposobem najdokładniej zabezpieczamy drzewa przed ich żarłocznością. Zebrane jajka najlepiej spalić.

Z jajek, niezniszczonych w wiosnę, wychodzą na wiosnę pędraki lub gąsienice i zaczynają dzieło zniszczenia. Z niemi właśnie, jak również z dorosłymi owadami, zabierzemy znajomość.

Zacniemy od tak pospolitych w maju chrabąszczów. Któż nie zna tych brunatnych żuków, z ładnymi wachlarzowatymi rożkami, latających z głośnym brzękiem po zachodzie słońca? W dzień ich nie widać, ale właśnie wówczas chrabąszcze siedzą na drzewie w cieniu liści i objadają je w najlepsze. A że zjawiają się one zawsze w znacznej ilości, łatwo więc pojąć jak wygląda drzewo, na które napadną. Ogołoczone z liści, chociaż i nie zginie, w każdym razie straci znaczną część sił żywotnych.

Pierwsze chrabąszcze ukazują się często już w kwietniu a wylazą z ziemi. Zobaczyć można nieraz na wiosnę, jak wykopuje się młody chrabąszcz, torując sobie drogę głową i opierając się o ziemię tylnymi nogami i końcem odwłoka. Wydobywszy się wreszcie, odpoczywa przez chwilę, wdrapuje się na drzewo, macha kilka razy skrzydłami, nadyma się i rusza bokami, żeby nabrać powietrza, gdyż jest zbyt ciężki, aby wznieść się sam przez się i nakoniec rozpostarłszy skrzydła, odlatuje.

Chrabąszcze żyją tylko kilka tygodni, a w lecie nie widać ich zupełnie. Przed tem jednak samiczki składają jajka w ziemi, w tym celu kopią one w miękim i suchym gruncie dołki przy pomocy tylnych łapek i zaostrego końca odwłoka. Każdy dołek ma kilka cali głębokości, a mieści w sobie po kilkadziesiąt jajek. Z jajek tych po kilku tygodniach wykluwają się żółtawo-białe gąsieniczki z brunatną głową i trzema parami nóg, zwane pędrakami. Żyją one w ziemi trzy lata: pierwszy rok spędzają w tem miejscu, gdzie były złożone jajka, następnie zaś rozlażą się na wszystkie strony

# GÓRSKIE ZAMCZYSKO

opowiadanie z XIV wieku.

P. ZUZANNĘ MORAWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

Zbóje chociaż niechętnie spełnili jego rozkaz i ułożyli chłopaka w rozpadlinie skały, sami zaś wrócili do ogniska.

— Dajcie co przelknąć! — zawołał Haps, dychając po długim zmęczeniu.

— Nie mogłeś to nałykać się wody, kiedy wracasz od jeziora — rzekł mu krzątający się około posiłku.

Haps nic nie odrzekł, tylko wyciągnął się jak długi, bo niewygodna podróż pod górę z ciężarem tak go zmęczyła, iż nie chciał nawet gawędy. Tymczasem zbóje chociaż niechętnie, złożyli chłopaka w rozpadlinie góry, Krecha zaś poszedł i okrył go wilgotną oponczą, którą niósł pod górę, rozwieszoną na własnych plecach.

Już wracał do ogniska, które powoli zaczęło swe czerwone światło rozlewać, gdy nagle przyszła mu jakaś myśl i zawołał:

— Dawajcie tu flaszkę, a pełną!

— Co, on umarlaka będzie poił? — zawołał któryś ze zbójów.

Nie dosłyszał odpowiedzi dowódca, ale znać jej się domyślił, zawołał więc surowo:

— Dawaj, bo ci twoje gadanie w gardziel wtłoczę!

Przyniesiono mu więc skórzaną flaszkę z mocnym piwem. Krecha zwrócił się do leżącego, odemknął jego zaciśnięte zęby, przytknął flaszkę i wlał mu nieco płynu.

Chłopak przelknął, otworzył oczy, popatrzył zamglonym wzrokiem i napowrót zamknął powieki.

— No, jak sobie chcesz! — rzekł do siebie z pewnym zniecierpliwieniem Krecha — nie chcesz być zbójem, bądźże padliną.

I potrąciwszy nogą leżącego, zły i chmurny zbliżył się do towarzyszy.

— I czegoż stoicie jak wrony nad gnatem! — zawołał, chcąc gniew swój na kogoś spędzić.

Żle się jednak wybrał, bo żaden z nich nie stał, lecz wszyscy leżeli lub siedzieli około ogniska, patrząc w jego czerwonawe płomyki lub ogarniając kijem suche badyle i gałęzie.

— Hej, boć sobie uważamy — odciął się Turek — że wkrótce każesz nam pieśni kościelne śpiewać, a za łupy dasz znalezionych przy drodze unierających żelbraków...

— Lub baby czarownice co spadły z urwiska, gdy z dyabłem szły w tany! — przerwał śmiejąc się inny.

— Cicho wy głupie bestye, choćbym dbał o wasze nędzne dusze, gdy się wywloką z cielska, jak dbam teraz o wasze kieszenie, moglibyście mi tylko podziękować.

— Ha, ha, ha! ha, ha, ha! — zaśmiała się cała czereda, aż echo rozniosło ten ich gruby chichot po górach.

— Przestańcie wyć jak wściekłe wilki, a nadstawcie dobrze uszu! — rzekł Krecha.

Zbóje spojrzeli ciekawie na niego.

— Gdyby ten chłopak ożył, moglibyśmy mieć z niego dzielnego pomocnika...

— Eee! eee! — przerwali jednogłośnie — mało nas to, a i tak nie mamy się czem dzielić!

— Toć wiem, że trudny teraz połów na lądzie, ten znać rybakiem, jak to z odzienia poznałem...

— Ho, rybki nam z jeziora będzie łowił, to mi bogactwo! — zawołał Turch, wyciągając się jak długi.

— Cicho, ty sowo uszata! — zgromił go Krecha — słuchaj, lub idź na złamanie karku.

Zgromiony nic nie odrzekł, tylko niechętnie odwrócił się plecami do mówiącego,



Słowik.

i zjadają korzenie roślin. A są tak żarłoczne, że szkody, jakie wyrządza dorosły chrabaszcz objadaniem liści, niczem są w porównaniu z temi, co cierpią drzewa od pędraków. Zrzędzalyby więc one nieobliczone szkody, gdyby nie to, że mają wielu wrogów.

Te z nich, które znajdują się niezbyt głęboko, wydobywa zwykle na powierzchnię pług, albo motyka; a tam czyhają już na nie różne ptaki owadożerne: szpaki, wrony, kawki i inne, którym smakuje tłuste mięso pędraków, chodzą stale z kopaczami lub oraczami i zjadają wydobyte pędraki. Pod ziemią uganiają się za nimi krety. Obliczono, że jeden kret zjada dziennie do 40 pędraków.

Ginie więc ich sporo. Mimo to jednak znaczna liczba zostaje przy życiu. W ciągu 4-go roku pędraki przeobrażają się w poczwarki, a z tych następnie wychodzą dorosłe chrabaszczki, które zimę spędzają jeszcze w ziemi, a dopiero na

wiosnę, a więc w 4 lato po złożeniu jajek wydobywają się na zewnątrz. Dla tego to, jeśli w którym roku było dużo chrabaszczków, będzie ich zawsze wielka ilość dopiero w lat cztery.

Ale i dorosłe nie są wolne od wrogów: jednego złapie okrutna dzierzba i bez litości wbije na cierń, aby mieć gotowy pokarm na chwilę głodu; innego złowi lis, lub kuna, idąc na wycieczkę do kurnika, jeszcze innego upoluje nietoperz albo jeź przydybie na ziemi.

Mamy więc dość pomocników do tępienia chrabaszczy ale jeśli chcemy, aby nasze drzewa dobrze się miały, musimy i sami wziąć się do nich. Pędraki można niszczyć, rozkopując ziemię. Żeby jednak nie robić tego po omacku, dobrze jest, dla zabezpieczenia drzew owocowych, zasadzić koło nich truskawki albo sałatę. Pędraki łakome są na korzenie obu tych roślin, złażą się więc do nich i niszczą je. Podkopując roślinki, będziemy mogli z całą pewnością złapać i wytepić zgromadzonych koło ich korzeni szkodników. Przy największej jednak staranności w tępieniu pędraków trudno nam będzie dorównać żarłocznym kretom. Te więc stworzenia starannie oszczędzać należy: jeśli gdzie widać kretowiska, dowód to niezbity, że w ziemi znajduje się dużo różnych pędraków. Wypędzać, a tem mniej zabijać kretów nie należy; gdy wytepią one doszczętnie pędraki w danem miejscu, same przenoszą się w inne.

(d. n.)



Chrystus po zmartwychwstaniu ukazujący się Magdalenie.

— Zbyt wielu poluje nas w górach, gdybyśmy tak zrecznego na wodzie między sobą mieli, zrobilibyśmy wyprawę het, dalej, kędy rzekami kupcy prowadzą towary.

Zbójce podnieśli się na poły, nawet Turch odwrócił nieco głowę i wszyscy ciekawie spojrzeli na mówiącego.

Krecha znać ujrzał się panem położenia, uśmiech nieznaczny zawisł na jego grubych wargach i mówił dalej:

— Przypatrzcie się jeno temu chłopakowi, niechaj tylko ożyje, to daję głowę jeżeli nie będziemy mieli z niego pomocy! Sąc rozbójnicy na morzu, co swoje okręty uzbrojone mają, ba i miasta na ostrowach i lądzie, czemużbyśmy i my do takiego bogactwa dojść nie mieli, gdybyśmy się przemnieśli na rzeki, któremi ogromne bogactwa do wszystkich miast w dolinach ciągną.

— Ba, ba! — potakiwali słuchacze.

— Juści, podobno i beczki wina, ba i tego napitku słodkiego a mocnego co go to od Węgier a nawet i dalej od północy i wschodu wiozą — dodał Turch.

— Obudziłeś się! — zawołał Krecha.

— No, taką gadkę każdy zrozumie — odrzekł zagabnięty.

— Sam umarłakowi zaniosę jądła — dodał.

— Ha, jaki prędki — zaśmiali się towarzysze.

Turch tymczasem wyjąwszy kawał mięsa piekącego się w popiele, poszedł między skały, gdzie leżał Bogum, lecz wkrótce powrócił, mówiąc:

— Śpi jak zabity, dycha jak miech, ani go obudzić!

— Znać nie głodny — dodał i zaczął zajadać mięso dla chłopaka przeznaczone.

Zbójce śmieli się, robiąc plany nocej wyprawy i późniejszych rzecznych, w których miał im dopomódz znaleziony chłopak, gdy zaś słońce coraz więcej kryć się zaczęło a mrok wieczorny rzucał powoli swe cienie, Krecha zawołał:

— No, dosyć tej gawędy, siedząc tutaj nic nie zyskamy, w drogę!

I przypasawszy mieczyk długi a wązki w pochwę schowany, zatknął za pas nóż, wziął w rękę siekierkę o długiej rękojeści i gotował się do odejścia.

Towarzysze poszli za jego przykładem i wkrótce na miejscu, gdzie przed chwilą wrzała głośna rozmowa i rozlegała się pieśń zbójceka, nastąpiła zupełna cisza, przerywana tylko krzykiem nocnych ptaków, gnieźdzących się po skałach.

Po kilku dniach wrócił Turch i kilku ze zbójców, ale Krechy i Hapsa między nimi nie było.

Rozniecili ognisko, podzielili między siebie przyniesione łupy, gdy nagle Turch przypomniał sobie chłopaka, który miał ich na rzeki prowadzić. Wdrapał się między skały i spojrzął na leżącego bezwładnie.

Światło księżycowe spadało srebrnymi promieniami na twarz leżącego i czyniło ją jeszcze bledszą i chudszą, a cała postać krzepkiego niedawno chłopca, podobną była do jakiegoś zaskrzepłego wśród głodu i umartwienia młodego mnicha.

— Ot, macie, ów chłopak, który miał nas swoim wiosłem zbogacić, nawet kruków nie pożywi, bo cielsko na nim do ena przyszło.

I Turch splunął niechętnie.

— Zmarł? — zapytał drugi.

— A czart go wie, może nigdy nie żył.

Inni rozśmieli się na tę odpowiedź i nie troszcząc się zgoła o chłopca, rozpoczęli swą ucztę. Przespali się potem podzielili przyniesionemi łupami i odeszli zostawiając płonące jeszcze ognisko.

## XI.

### TAJEMNICA.

Nad młodym rybakiem czuwała najwidoczniej ręka Opatrzności. Ocalony z rozbitej łodzi przez tych, których serca najmniej skłonne były do niesienia pomocy, miał już

pozostać narzędziem ich zbrodni, a może i sam wśród takiego otoczenia byłby poszedł za przykładem swych towarzyszy, gdy oto szczęśliwym trafem odzyskał przytomność w chwili ich nieobecności.

A znać daleko musieli się zapędzić i dłużej pozostawili śpiącego chłopca niż myśleli. Świadczyły o tem wychudzone chorobą i głodem jego członki a i wystygłe zupełnie ognisko, z pod którego wyciągnął kość pozostawioną przez Hapsa.

Teraz gdy wśród gorączkowych widziadeł przedzierał się ze skały na skałę, byłby może zmarniał zupełnie, gdyby dobroczynna ręka znów go nie ocaliła.

Lecz teraz mógł być spokojnym, nieznanym strzelec, który go znalazł prawie bez życia, pielęgnował go z troskliwością najczulszej matki.

Poranione ciało Boguma owinięte było szerokimi, znać z dolin przyniesionemi liśćmi, drobne gałęzie młodej sosny służyły mu za posłanie, a od chłodu i rosy nocnej chroniła go puszysta skóra górskiego niedźwiedzia. Gdy chłopiec ochłoniął z palącej go gorączki, strzelec wziął go jak dziecko na ręce i zaniósł pod skałę wznoszącą się powyżej. Ze skały tej ściekała niewielkiem strumieniem woda ciepła, mająca wprawdzie woń bardzo nieprzyjemną, lecz po tej kąpieli Bogum chociaż nie mógł chodzić, czuł się jednak dziwnie orzeźwiony i silny.

I tu między nieznanym i młodym rybakiem zawiązała się przez ten czas taka serdeczność, jak gdyby braćmi byli sobie i w jednej wychowali się chacie.

Rozpytywał więc swojego opiekuna jakim sposobem znalazł się wśród gór, kiedy poprzednio był rybakiem i mieszkał z babulą nad jeziorem.

Strzelec przypominał mu burzę i jego szaloną odwagę, z jaką rzucił się dla ratowania będących na jeziorze, o czem dowiedział się od babuli.

— Ach, babula, babula — westchnął chłopiec — jak ona tam sobie daje radę bezemnie!

A potem zaraz dodał:

— To złe znać tak mnie wodziło po skałach, a czarci com ich widział smażących dusze ludzkie przy ognisku, tak mię całego połomotali.

Strzelec, który z opowiadania chłopca domyślił się, wśród jakich to ludzi on się znajdował, uśmiechnął się tylko i rzekł:

— Oj złe, ale w postaci rozbójników i chyba duch matki i jej modlitwa uchroniła cię, żeś między nimi nie został.

— Matki?... — zapytał Bogum — więc ja miałem matkę... — dodał, jakby w tej chwili dopiero przyszedł do tej świadomości.

Nikt mu dotąd o niej nie wspominał, on sam nie wymówił nigdy tego imienia, miał tylko babulę, wiedział, że ona nie była jego matką, ale nie zdawał sobie z tego sprawy. Teraz nagle jakiś błysk przeszedł przez jego głowę, zaczęło mu się w umyśle rozjaśniać.

Inne najuboższe nawet dzieci nad jeziorem miały matkę, czemuż on jej nie miał, czemu on nigdy tego wyrazu nie wymawiał.

I ogarnęła go nagle nieokreślona tęsknota do tej, której nie znał.

„Matka”, wyraz ten jakimś dźwiękiem miłym i kojącym brzmiał mu w uszach i spływał do serca, które zdrząło nieznanem mu dotąd uczuciem.

— Matka, matka! — powtarzał, jakby się chciał nacieszyć dźwiękiem tego wyrazu.

Nagle, mimo bólu, jakie mu każde prawie poruszenie sprawiało, oparł się na łokciu, spojrzął swemi rozzummi, siwemi oczyma na siedzącego przy nim strzelca i zapytał:

— Znasz moją matkę?

(d. c. n.)

## SŁOWIK.

Kto z nas nie zna tego wdzięcznego śpiewaka naszych gajów i ogrodów? Kto podczas pogodnej nocy wiosennej nie zachwycał się melodyjnym jego głosem, rozbrzmiewającym tak słodko wśród drzew i zarośli, że Beethoven usiłował ów delikatny i pieszczotliwy tryl ptaszka naśladować w jednej z mistrzowskich sonat swoich (Sonata Pastorale).

Słowik należy do gatunku ptaków przelotowych, rozpowszechnionych we wszystkich krajach Europy, umiarkowanej strefy. Porzuca nas zwykle w pierwszych dniach września, zimę spędza w Syrii, Egipcie lub innej okolicy północnego Egiptu. Powraca w nasze strony z wiosną, w połowie kwietnia, buduje wtedy w małej wysokości nad ziemią gniazdko, wybierając przeważnie do tego krzaki kolczaste, rosnące od północy w pobliżu wody. To jego gniazdko składa się najczęściej z suchych liści, włókien lub włosów tak nietrwale spojonych, że rozpada się za najlżejszym dotknięciem. Samica znosi w nie od czterech do sześciu jaj szaro zielonych, jednobarwnych, lub plamistych. Śpiew słowika samca najpiękniej rozlega się po lasach i ogrodach tak długo, jak samica pozbawiona dźwięcznego głosu, siedzi na jajach, później przycicha, a pod koniec czerwca ustaje zupełnie. Ptaszek ten lubiony powszechnie, żywi się gąsienicami, poczworkami owadów i jagodami. W wielu miejscowościach wzbraniają słusznie łapania słowików, które z powodu nieogłędności swojej łatwo pochłycić się dają; należałoby otaczać tych skrzydlatych śpiewaków czujną i troskliwą opieką.

## CUDOWNA WYSPA

Najnowsza powieść Juliusza Verne'a

przekład M. D.

(Ciąg dalszy).

— Damy go przez telefon — dowcipkuje nawet w tej chwili wesoły zawsze Ponchard. Lecz ta oznaka dobrego humoru podrażnia jeszcze więcej rzucającego się w uniesieniu wionoczeliste.

Jak to nam już wiadomo, wieża obserwatorium wznosi się na końcu ulicy pierwszej, dzielącej miasto na dwie części. Na przeciwległym punkcie głównej tej linii, ciągnącej się na długość trzech kilometrów, spostrzegają artyści budynek, wyróżniający się od innych, a zakończony również wieżą z wielką tarczą zegarową. Uwięzieni rozumują więc słusznie, że tam musi rezydować główny zarząd całej wyspy i władza municypalna Miliard-City, wraz z prezydentem miasta i zastępcem sędziów i urzędników. Głos czysty i dźwięczny, bijącego właśnie godzinę piątą zegara, dolatuje ich aż tutaj, niesiony podmuchem lekkiego, wieczornego wietrzyka.

— Oto dźwięki z tonu *Re* major — odzywa się przejęty swą sztuką Yvernes.

— W takie dwóch czwartych — objaśnia Ponchard.

— Godzina piąta! — woła wzburzony ciągle Sebastian — a obiad, a spoczynek nocny! Czy ten nędznik Munbar ma sumienie jakie! Zmęczonych i wygłodniałych zostawia nas o sto pięćdziesiąt stóp nad poziomem morza, i ani się pyta, że już noc nadchodzi!...

Obawa przed niemiłą ostatecznością przepędzenia nocy w tych warunkach, zawładnęła powoli umysłami wszystkich członków Kwartetu wszyscy przyjmują za fakt możliwy, że winda z rozkazu Kalikstusa nie powróci już dzisiaj na górę,

a wiedzą już dobrze, że niema innego sposobu wydostania się z tego szczególnego więzienia.

Tymczasem zmierzch bywa bardzo krótkim w strefach bliskich równika, i oczy zrozpaczonych artystów nie zdają już rozróżnić zacierających się w dali linii horyzontu. Niebo i morze zlewają się w jakąś jedną, monotonną całość; na pierwszym nie dostrzedz chmurki ni obłoczku żadnego, na drugim tak samo równym i bezniernym obszarze, nie widnieje ani jeden żagiel, ani jeden słup dymu nie wznosi się z podążającego tą stroną parowca. Bezbrzeżna ta pustynia wodna w szarzejących półtonach wieczoru, rozdrażniająco działa na niezbyt wesoło usposobione uniesły Kwartetu.

Lecz tam na dole, na tym szmatku ziemi, malejącym jeszcze z wysokości, z jakiej spoglądają, rojno jest, tłumno i gwarno. Po wysypanych jasnym piaskiem alejach i ścieżkach, między zielenią traw i krzewów, wśród wspaniałych bukiełców kwiatowych, spaceruje publiczność miasta strojna i elegancka.

Damy i młode panienki ubrane w lekkie jedwabie bladego żółtego koloru, ulubionego szczególnie na południu, prowadzą na wstążeczkach małe angielskie chareiki, w złotych obrożkach na szyi i haftowanych płaszczykach. Młodzież zabawia się w krokieta, lawn-tenisa i tym podobne gry wyrabiające zręczność i siłę. Tu i owdzie na wysmukłych szkockich kucykach lub dorodnych pięknych koniach, galopują jeźdźcy i amazonki, dalej suną szybko a lekko elektryczne tramwaje z pasażerami używającymi miłego spaceru na wygodnych, miękkich poduszkach. Wszystkich zaś twarze wyrażają spokój i zadowolenie, wszystkie postacie są uosobieniem siły i zdrowia, nie spotka się tu owych dziewcząt o cerze bladej i anemicznej, ani przedwcześnie postarzałych młodzieńców, którzy są wstydem wielkich, a tak niehygienicznych miast starej Europy.

Ponchard i Francolin pochyleni nad galerią otaczającą platformę wieży, na której są uwięzieni, próbują kilkakrotnie zwrócić na siebie uwagę tych tłumów, wydając okrzyki różne. Głos ich musi być słyszany tam na dole, lecz obecność czterech sympatycznych postaci, nie zdaje się dziwić nikogo, owszem, sądzićby można, że miliardowa publiczność powiadomioną jest dokładnie o przybyciu paryżkich gości, którym Kalikstus Munbar czynił przez dzień cały honory przyjęcia. Na nawoływania z góry odpowiadają uchYLENIEM kapeluszy, przesyłając uprzejme „dzień dobry” jako powitanie.

— Najwidoczniej i oni kpią z nas sobie — mówi z gniewem Ponchard.

— Takby przynajmniej sądzić można — odpowiada Yvernes.

Tymczasem upłynęła już godzina cała, bez zmiany żadnej w tem szczególnem położeniu francuzkiego Kwartetu. Czas obiadowy się zbliża, park zaczyna się opróżniać, na ulicach nawet coraz mniej przechodniów, a w miarę tego coraz więcej podrażnionem staje się usposobienie artystów, próżno czekających oswobodzenia.

— Bezwątpienia — odzywa się melancholijny Yvernes, któremu przychodzi na myśl wspomnienia romantycznych ballad i powieści, jesteśmy tu podobni owym ludziom uwiedzionym przez złe duchy do miejsc poświęconych bóstwom, i skazanych na śmierć za karę, że śmieli oglądać to, na co oczom ludzkim patrzeć nie było wolno.

— Więc wypadnie nam tu zginąć męczeńską śmiercią głodową — objaśnia Ponchard.

— Zanim to nastąpi, wyczerpiemy wszelkie możliwe środki przedłużenia naszego życia — odpowiada Sebastian.

— A jeśli wreszcie dojdzie do tego, że pożremy się wzajemnie, numer pierwszy musi dostać się koniecznie Yvernesowi — dodaje Ponchard.

— Jak wam się podoba — wzdycha pierwszy skrzypek, pochylając głowę, niby gotową już do odebrania śmiertelnego ciosu.

W tejsze jednak chwili lekki szelest daje się słyszeć z głębi wieży, i niebawem klatka windowa ukazuje się na platformie. Więźniowie, spodziewając się spotkać z Ka-

likstusem Munbarem, gotują się do przyjęcia go w sposób, jak na to zasłużył, winda przecież jest pustą...

Niech i tak będzie na teraz, jest to tylko sprawa odłożona nieco, gdyż pokrzywdzeni i oszukani zdołają odnaleźć niecnego mistyfikatora i zażądać należnego zadosyćuczynienia.

Z zawziętością w sercu Kwartet podąża windą na dół, przebiega spiesznie dziedziniec obserwatorium i łączy się na ulicy z nielicznymi już przechodniami. Sebastyan Vaillant nie umiejący panować nad sobą, nie szczędzi potoku wymyślań przeróżnych, milknie jednak wkońcu pod wpływem słów praktycznego Francolina, który radzi takt i przezorność. Zdaniem jego wypada odwołać się jutro do rady miasta, żądając sprawiedliwości, jaka się należy wolnym obywatelom Francji; tymczasem zaś pozostaje im jedynie wrócić spokojnie do hotelu Excelsior, gdzie mogą znaleźć należyty im dzisiaj wypoczynek nocny.

Idąc chodnikiem, wśród publiczności Miliard-City, Paryżanie nie czują się zupełnie swobodni, zostając pod wrażeniem, niezupełnie zresztą słusznym, że są przedmiotem ogólnego zaciekawienia.

Z drugiej strony, zdaniem Yvernesa, mieszkańcy „Cudownej wyspy”, ci bogacze oddzielający się dobrowolnie obszarami oceanów od swych bliźnich, wydają się jacyś odmienni od zwykłych ludzi, jakby z innej pochodzili planety.

— Co najwięcej, wszyscy mają wygląd prawdziwych milionerów — robi uwagę Ponchard.

Lecz głodne żołądki artystów coraz silniej dopominają się o należną im codzienną daninę; zgodnym więc zdaniem wszystkich, trzeba pospieszyć do hotelu „Excelsior” ale oto Francolin zatrzymuje się nagle przed wspaniałym budynkiem, na frontonie którego błyszczą złotemi literami napis: „Casino”. Z prawej strony pięknego łuku, zakreślającego główne wejście, widać przez szkło okien zdobnych w kolorowe arabeski, rzędy nakrytych stołów jadalnych, zajętych już w części przez biesiadujących, pośród których liczna uwija się służba.

— Możliwość się tu posilić smacznym obiadem — mówi drugi skrzypek, śledząc wzrokiem wyraz twarzy swych towarzyszy.

— Wejdźmy! — odpowiada krótko Ponchard.

Sebastyan i Yvernes nie sprzeciwiają się temu bynajmniej, idą więc wszyscy jeden za drugim. Nikt nie zwraca szczególnej na nich uwagi w tym miejscu najczęściej odwiedzanym przez cudzoziemców; zajmują przeto miejsca w okolo stołu i w pięć minut potem zajądają z iście wilezym apetytem pierwsze potrawy obiadu, którego „menu” dobrał Ponchard z rzadką znajomością rzeczy. Bo dla czego zresztą miałby sobie żałować drobnej tej przyjemności „Koncertujący kwartet”, którego kasa nie jest zupełnie próżną, a jeśli tutaj uszczupli się nieco, toż nie trudno będzie napełnić ją znowu paru występami w San-Diego, do którego pospieszają nazajutrz wczesnym już zaraz rankiem.

Smaczną i wykwintną jest kuchnia w „Casino”, sporządzona przy wolnym od dymu i czadu, ogniu elektrycznym; z wielką umiejętnością sztuki kucharskiej zaprawiono zupełnie żółwiową, świeżuteńkie ryby, „rumsteeki”, zwierzyne, a wreszcie kompoty i jarzynę. Wysokiej też wartości wina bur-

gundskie, bordeau i reńskie szczególniejsze smakują naszym paryżanom, u których humor poczyną przybierać coraz jaśniejsze barwy, przechodząc stopniowo wszystkie odcienia aż do różowego i złotego wreszcie. Cała przygoda, jaką im sprawił los figlarny, przedstawia im się w tej chwili mniej już przykrą, znajdują nawet, że życie w Miliardowym mieście może być bardzo przyjemnem.

Gdy po deserze ostatnie wychylili kieliszki, Francolin, jako kasyer towarzystwa zażądał rachunku. Zaledwie jednak rzucił spojrzenie na sumę wypisaną u dołu eleganckiego brystolu, gdy na twarzy jego odbił się wyraz najwyższego zdumienia, przestrawu nieledwie.

Podniósł się szybko, usiadł i na nowo powstał, przetarł oczy i patrzył osłupiałym wzrokiem na leżący przed nim papier.

— Cóż ci to, co się stało? — pyta Yvernes.

— Doznałem dreszczu od stóp do głowy — odpowiada drugi skrzypek.

— Czy rachunek przedstawia ci zbyt wysoką cenę zjedzonego przez nas obiadu?

— Więcej jak wysoką, niemożliwą poprostu, mamy bowiem płacić dwieście franków przeszło...

— Za wszystkich czterech razem?

— Nie, za każdego z osobna...

Rzeczywiście, ni mniej ni więcej jak sto sześćdziesiąt dolarów utworzyły, pojedynczo obliczone, spożyte przez Kwartet potrawy i wypróżnione przez nich butelki wina.

— Zdzierycy! — zawołał „Jego Ekscelencya”.

— Złodziej! — krzyknął drżącym z oburzenia głosem Sebastyan.

Wprawdzie zdania te, wypowiedziane w języku francuzkim, nie zostały zrozumiane przez starszego kelnera, który podał rachunek i czekał na jego uregulowanie, mimo to przecież z ruchów cudzoziemców, wyrażających wielkie zafrosowanie, nie trudno mu było domyślić się rzeczywistego położenia rzeczy. Uśmiech jednak, okalający mu usta wyraża tylko szczere zdziwienie, gdyż dla niego, wobec przyjętych cen w Miliard-City, wydaje się rzeczą całkiem naturalną, że obiad na cztery osoby kosztować może sto sześćdziesiąt dolarów.

— Niema rady! Zapłacić trzeba, choćby nam przyszło handlować głodem, w podróży do San-Diego — zdecydował Francolin, wyjmując swój pugilares i dobywając z niego poważną sumę asygnat dolarowych. Odliczył uważnie żadaną kwotę i właśnie miał ją doręczyć kelnerowi, gdy nagle:

— Panowie ci nie mają tu nic do płacenia — wołał odedrzwiał głos dobrze mu znany głos Kalikstusa Munbara, który wchodził do sali z twarzą uśmiechniętą, z wyrazem wielkiego zadowolenia.

— To on! — zawołał glucho Sebastyan, który czuje żywszy obieg krwi w swych żyłach, na widok tego człowieka, tego nędznego mistyfikatora; porywa go przytem gwałtowna ochota uchwycenia go za kark i ściśnięcia trochę, jak ścisną rączkę swej wionolczeli, gdy mu wypada brać „forte”.

(d. c. n.)

#### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

**TREŚĆ:** W pustyniach Australii p. Władysława Umińskiego. — Szkodniki drzew owocowych p. B. Dyakowskiego. — Górskie zamczysko, opowiadanie z XIV wieku p. Zuzannę Morawską — Chrystus po zmartwychwstaniu ukazujący się Magdalenie (drzeworyt) — Słowik (z drzew). — Cudowna wyspa, najnowsza powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — **Dodatek:** Prawdziwy obiad (z drzew). — Dlaczego piana jest białą? — Bajeczka małej Halusi, wiersz p. J. G. Opowiadanie starszej siostry, z angielskiego M-ss Molesworth — Łamigłówni i rozwiązania. — **Dodatek książkowy:** Dla szczęścia rodziny. Przekład Maryi B.



# WIECZORY RODZINNE

## PRAWDZIWY OBIAD.

(Ciąg dalszy).



— Oj, co to będzie jak mama zobaczy — rzekła — cała jestem przemoczona.

— To nic — rzekł Józio — idźmy prędzej do ognia, to się osuszysz, i wszystko troje siedli przy ogniu, który Józio rozdmuchiwał jeszcze z całej siły. Melunia dorzuciła patyczków, a Marynia kładła do słoja pierniki, pokrajane migdały i rodzenki, ulawszy trochę wody.



Gdy już słoje stanął na podłożonych pod spód dla równości kamykach, wpośród rozpalonego ogniska, Józio oparł się na kij, którym zgarniał główne, i patrzył jak woda zaczyna kipić, a Marynia zaczęła patykiem mieszać zupę.

(d. n.)

## × Dlaczego piana jest białą?

Na podwórku, w cieniu kasztana Jaś i Zośka puszczali bańki mydlane.

— Jakie białe nasze bańki! — zawołała Zośka, patrząc na przezroczyste kule, które wiatr unosił, to na brudne mydliny w miseczce. — Ja myślałam, że one będą koloru mydlin, z których je robimy.

Jasia znudziła zabawa, wziął długą słomkę i dmuchał z całej siły w miseczkę, która niebawem pokryła się białą pianą.

— Widzisz, że i piana jest biała, tak samo jak bańki — powiedział do siostrzyczki.

Wiele dzieci, zarówno jak Janek dziwią się, dlaczego piana, z najbrudniejszej wody jest zawsze biała.

Oto widzicie: Piana składa się z kuleczek okrągłych, tak jak bańki, które Zośka puszcza na wiatr. Wy ich kształtku nie widzicie dokładnie, bo są bardzo maleńkie, ale pod mikroskopem widać, że każda jest okrągła, przezroczysta, a jeżeli popatrzymy pod słońce, to w każdej dostrzeżemy maleńką tęczę.

Otóż ciała kuliste najmocniej odbijają i załamują promienie słońca, dlatego też widziane w wielkiej ilości, wydają się nam białe.

Gdyby Jaś włożył słomkę na dno miseczki i dmuchał dalej, tobyście spostrzegli tuż nad powierzchnią wody, kulki zabarwione na szaro, gdyż powietrze porwało ze spodu cząstki ziemi i uniosło je do góry. W wodzie mętnej promienie nie odbijają się tak jasno jak w przezroczystej i dlatego są ciemne. Żeby jednak bańka mogła ulecieć w powietrze musi pozbyć się wszelkich nieczystych cząstek; staje się znowu przezroczystą i lekką i wiatr ją z łatwością unosi.

Piana z atramentu jest równie białą jak piana z czystej wody, naturalnie jeżeli atrament nie jest zbyt gęsty. bo w każdej kuleczce odbijają się te same promienie słońca, i każdą nam w ten sam sposób przedstawiają.

Czyście kiedykolwiek zwrócili uwagę, jak prześlicznie wyglądają krople deszczu, jeżeli na nie padnie promień słońca? Mieniają się wszystkimi barwami; i to jest tęcza, która się tworzy, przez odbicie w kulkach wody światła słonecznego.

A teraz, ile razy będziecie puszczali bańki mydlane, i spostrzeżecie prześliczne barwy na ich powierzchni, pamiętajcie, że jest to dziełem słońca.

## BAJECZKA MAŁEJ HALUSI.

Siedzą grzecznie trzy dziewczynki,  
I każda z nich rada  
Różne baśnie i bajeczki  
Siostronom powiada...

Przyszła kolej na Haliukę,  
Wnet miła dziecina  
Uroczyście stroi minkę,  
I mówić zaczyna:

„Była raz dziewczynka mała  
Pieszczoszka swej matki,  
Wciąż śpiewała i biegała,  
Lub zbierała kwiatki.

Raz biegając po murawie,  
Po zielonej łące,  
Ujrzy tuż nad sobą prawie,  
Obłoczki lecące;

Więc pomyśli: „Ach! do nieba  
Widzę łatwą drogę  
Tylko sięść na chmurkę trzeba;  
Spróbuję czy mogę.

Nad pagórką obłok nisko,  
Więc biegnę na górkę”.  
Biegnie, biegnie i już blisko,  
Już siada na chmurkę.

Lecą — lecą ponad gaje,  
Lecą ponad wioski,  
Aż nareszcie chmurka staje  
Tam gdzie jest tron boski!

Co też tam za cuda, dziwy,  
Piękni aniołowie,  
Jak tam każdy jest szczęśliwy,  
To nikt nie wypowie!

Brzmiały tak mile harfy, lutnie,  
I anielskie chóry...  
Czemuż dziecko patrzy smutnie  
Na ziemię, przez chmury?

Dziwią temu się anieli,  
A Panienska święta  
Zapytuje słodko Heli:  
„Czemu twe oczęta

Łezki ronią, patrzą rzewnie,  
Czyż piękniej na świecie?”  
„O nie! tutaj piękniej pewnie,  
Lecz tam mama przecie!

Jakże mi tu być wesołą,  
Gdy tam mama biedna,  
Siedzi smutnie chyląc czoło,  
Samiuteńka jedna”...

Tej powiastki Helci matka  
Słuchała na stronie,  
I otarła łzę z ukradka,  
Ból uczuła w łonie:

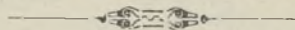
„I cóż dalej? cóż, Halusiu?”  
Zmieszana dziewczeczka,  
„Nic, odpowie, nic, mamusiu,  
Skończona bajeczka”.

...  
Czy co dziecko przeczuwało?  
Nie wiem, nie wiem zgoła,  
Ale wkrótce jej nie stało,  
Nie ma już anioła...

Leży w białej swej sukience  
Matczyzna pieszczota;  
Nie na chmurce, a w trumience,  
Mija domu wrota...

Biedna matka mimowoli  
Jej słowa wspomina:  
„Czy tak za nią serce boli,  
Czyż tęskni dziecina?”

J. G.



## OPOWIADANIE STARSZEJ SIOSTRY.

z angielskiego

M-SS MOLESWORTH.

(Dalszy ciąg).

— Wiecie zapewne, że w takim ogromnym jak Londyn mieście, jest mnóstwo sierotek i biednych dzieci, które rodzice powierzają miłosierdziu publicznemu, sami zbyt ubodzy, aby je wyżywić i wychować. Panie założyły schronienie dla tych nieszczęśliwych, a że ja mam dużo wolnego czasu, bo od śmierci mojej matki jestem zupełnie sama, więc zajmuję się temi istotami. Odwiedzam je prawie codziennie, uczę, pomagam pielęgnować, gdy są chore i lubię je bardzo.

— Byłoby pani jednak daleko przyjemniej — zauważył Tomcio — mieć własne dzieci, tak, jak mama nas miała. Nie wolałaby pani o nie się troszczyć?

Zaczęła się śmiać.

— Otóż jesteśmy na miejscu — rzekła. Strach złagodzony jej obecnością, ogarnął nas silniej niż przedtem.

— Błagam panią, niech pani nie dzwoni, zobaczę pierwszej, może drzwi jeszcze otwarte.

O dziwo! były one dotąd niezamknięte! W istocie nieobecność nasza trwała zaledwie trzy kwadransy i wszystko było tak jak przed naszym odejściem.

To jest nie wszystko, gdyż Sara błada jak płótno biegała po domu wołając nas rozpaczliwie, szukając daremnie w salce i w dzieciennym pokoju. Na nasz widok wydała głosny okrzyk radości.

.....

— Ach! jesteście przecież! Skąd przychodzicie? Jakie to szczęście, że pani Gertruda dotąd nie wróciła!

Ze wzburzenia nie zauważyła obecności pięknej Złotowłosej.

— Proszę to oddać doktorowi G. — odezwała się nasza opiekunka, podając jej bilet wizytowy, na którym nakreśliła kilka słów ołówkiem.

— Przepraszam panią — tłumaczyła się Sara — przepraszam, proszę wejść dalej, doprawdy przytomność opuściła mnie ze strachu.

— Tak byłaś niespokojną biedna dziewczyno!

— Czy byłam niespokojną... Wielki Boże! zdawało mi się, że oszaleję!

— Wkrótce zapewne zobaczą się z doktorem — ciągnęła dalej nasza przyjaciółka — nie potrzebujecie o niczem wspominać. Biorę wszystko na siebie. Do widzenia dzieci.

Rzuciliśmy się jej na szyję.

— Oh! piękna pani Złotowłosa, zostań z nami już na zawsze!

— Nie żądajcie niepodobnych rzeczy — odrzekła. — Poproszę stryja, aby wam pozwolił przyjść jutro do mnie na obiad. Będziemy cały dzień razem.

— Ale pani wcześniej po nas przyjdzie — nalegał Józio.

— Jak będę mogła najwcześniej, pieszczoszku.

Chciała odejść, powstrzymałam ją.

— Niech już pani opowie stryjowi wszystko, co pani zechce, ale jeżeli stryj doniesie rodzicom, że jesteśmy niegrzeczni, to mi pani przyrzeknie napisać im od siebie jak rzeczy stoją.

— Spuść się na mnie Zosieńko — szepnęła piękna Złotowłosa, czule mnie całując i wyszła z pokoju.

WYNIKŁE STĄD SKUTKI.

Nazajutrz, gdy Sara przysła nas ubierać, Tomcio spał jeszcze; kładąc się, narzekał na ból głowy, sprawialiśmy się więc cichutko, aby mu snu nie przerywać. Ubierając nas Sara, udzieliła nam wiadomości o niepowodzeniach pani Gertrudy. Układ z ową nową nianią nie doszedł do skutku; spóźniła się na pociąg, deszcz zmoczył jej nowy kapelusz, z całej tej wyprawy przywiozła jedynie: zniszczone ubranie, silny katar i fatalny humor.

— Szczęściem, nie wie o waszej wyprawie — dodała Sara — ze stryjem załatwiła całą sprawę ta młoda pani, widząc się z nim wczoraj wieczór.

— Jaktło! — zawołałam, czując, że mi serce żywiej uderza — już się z nią widział?

— Niech panienka będzie spokojna, ta przeciw wam podburzać go nie będzie. Andrzej, służący pana zna ją dobrze. To bogata osoba, a całe życie jej schodzi na dobrych uczynkach: szyje dla biednych, odwiedza chorych. Bodaj wszyscy bogacze do niej byli podobni!

— To wróżka — zawyrokował Tomcio obudziwszy się i posłyszawszy opowiadanie Sary.

Biedny mój Tomcio mniej narzekał, ale był blady i bez humoru.

— Chciałbym usiąść komu na kolanach i zasnąć — powiedział, zaledwie się ubrawszy.

— Chodź do mnie, ja cię wezmę.

— Ty na to nie dosyć dużą jesteś.

— Przeciwnie, spróbuj tylko.

Siadłam na ziemi, oparłszy się o ścianę, braciszka wzięłam w objęcia, on główkę wsparł na ramieniu mojem i zamknął oczy. Sądząc, że usnie, ani się ruszyłam. Straszyla mnie obawa ciężkiej choroby i czułam się nad wyraz nieszczęśliwą. Czyżby było winą przeziębienie Tomcia? wyłącznie moja!... Gorzkie sobie czyniłam wyrzuty, a łzy gorące z oczu mi płynęły, gdy drzwi się otworzyły i wszedł stryj Franciszek. Płacz mój wzmógł się jeszcze. Ku wielkiemu memu zdziwieniu stryj pochylił się ku mnie, czule mnie całując:

— Biedna moja Zosieńko — rzekł — tak dalece nie chcący ci dokuczyłem, że chciałaś odemnie uciekać. Przykro mi to niesłuchanie, ale może wymazawszy przeszłość z pamięci, spróbujemy na nowo żyć w zgodzie. Teraz lepiej nam się pewno powieździe.

— Oh, chętnie próbować będę! — zawołałam. — Pani Gertruda ciągle nam powtarzała, że jesteśmy nieznosni, że stryjowi zawadzamy, sądziłam, że sprawię mu przyjemność, uwalniając go od naszej obecności.

— O jedno cię tylko proszę — mówił dalej stryj Franciszek — jeżeli byś się czuła nieszczęśliwą, miała zmartwienie jakie lub kłopot, przyrzeknij odtąd do mnie się zwracać.

(d. r. n.)

S Z A R A D A.

ułożyła Hańdzia i J. K. dla Antosia i Kazia z nad Wiochry.

*Pierwsza z drugą*, przymiotnik rodzaju żeńskiego,  
*Druga* jest głoską znaną w każdym alfabecie,  
*Trzecia* na ziemię całą ciemności roztaacza,  
*Trzecia z drugą* to samo zdrobniałe oznacza;  
 Złączywszy razem w jedno pierwsze, drugie trzecie,  
 Nazwę dnia otrzymamy dla wszystkich świętego.

ŁAMIGŁÓWKA W KĄTKACH.

ułożył Gęłąb z nad Zdwyża dla siostrzyczki Cyganeczki z n. Horynia.

1 . . . . .	W kwadracie z 7 przedziałek
. 2 . . . . .	ułożyć wyrazy aby litery
. . 3 . . . . .	oznaczone liczbami złożyły
. . . 4 . . . . .	nazwę miasta we Włoszech.
. . . . 5 . . . . .	1) Ofiara zemsty bogów w
. . . . . 6 . . . . .	wojnie Trojańskiej. 2) Nie-
. . . . . 7 . . . . .	gdyś księstwo włoskie, póź-

Sardynii. 3) Miasto nad Czarną Hańczą. 4) Królestwo w półn. Niemczech. 5) Wyspa na m. Śródziemnem. 6) Owoc południowy z gatunku pomarańcz. 7) Jezioro w Ameryce.

Sylaby: On — cy — mi — ha — su — pie — la — ta — try — nor — no — wał — mont — o — rio — na — on — ka — wer — ki ko.

## LAMIGŁÓWKA LICZBOWA.

U pewnego jubilera zostawiono do przechowania krzyż ozdobiony 25 brylantami, osadzonemi w ten sposób, że od góry do dołu, od dołu do prawego ramienia i od dołu do lewego ramienia, liczono 9 kamieni. Gdyby wszakże na kwiecie nie była wymieniona istotna liczba kamieni, tylko podano powyższy opis, jubiler w inny sposób osadzając je, mógłby zatrzymać sobie 2, 4, 6, 8, 10, 12 nawet 14 kamieni, nie uchybiając wyrażonemu w liście opisowi. W jaki więc sposób mógłby je porozmieszczać?

## ROZWIĄZANIA DO N-ru. 16-go.

Szarady: Pi — san — ki.

*Lamigłównki kropkowanaj:*

Rządź się rozumnie, sprawuj się pocziwie,  
A w każdym stanie możesz żyć szczęśliwie.

Lamigłównki w kwadracie:

A t a m a n  
T r a j a n  
A s y r y a  
M a r m u r  
A n a n a s  
N a n k i n

## Skrzynka do listów.

W odpowiedzi za zapytanie Białej Lilijki, jak się obchodzić z chorą palmą, donosimy, że najpierwej zbadać trzeba przyczynę jej choroby, którą najpospoliciej bywa zbyt częste, lub też zbyt rzadkie podlewanie. Aby uniknąć jednego i drugiego trzeba podlewać tylko wtedy, gdy ziemia jest sucha, o czem łatwo się przekonać, uderzając o doniczkę zgiętym w stawie palcem. Gdy ta wydaje wtedy dźwięk głuchy, znać że ziemia nadto jest sucha, w przeciwnym razie zaś zwilżać jej nie trzeba. Przyczyną choroby każdej rośliny może też być zbyt gorąco w miejscu, gdzie stoi, równie jak zanieczyszczenie liści. Trzeba więc trzymać ją w miejscu chłodnym w pobliżu okna i światła. Liście zaś zakurzone obmywać często zwilżonem dobrze plótnem.

Pochwalamy bardzo zamierzoną pracę około ogródka, której plony niewątpliwie wielką przyjemność przyniosą małej ogrodniczce. Za przysłanego rubla na kolonie letnie dziękujemy w imieniu biednych dzieci. Cieszymy się, że czytanie „Wieczorów” zadawałua Białą Lilijkę i że podobaly się jej powieści. A czemu podróże jej nie zajmują?

P. Zofii z Plocka. Nie rozumiemy jaki rodzaj uzdolnienia ma oznaczać nazwa *pomocnicy w redukcji*. Czy to ma być expedytorka, czy też kasyerka? O innych zajęciach dla kobiet w redakcyach nie wiemy, a i te, o których wspominamy, są zawsze zajęte przez osoby, które się rzadko zmieniają, tak, że niema nigdy wolnego miejsca, któreby czekało na kogoś, zwłazczca nie obznajmionego z tego rodzaju zajęciem.

Żądane numera „Wieczorów Rodziny” p. Ludwik K. zamówić może w księgarni Gebethnera w Krakowie. Warunki pre-

numeracyjne wydrukowane są w każdym numerze na ostatniej stronie.

Żywemu Srebru „kochane Wieczory” dziękują za życzenia przesłane z okazji Świąt, a Redakcyja dołącza zapewnienie o niezmienniej przychylności dla młodych prenumeratorów, przyjaźnie względem niej usposobionych. Nadesłaną lamigłównkę złożyliśmy osobom, trudniącym się tym działem pisma naszego.

List Żabci z nad Dunaju kształtnem i czytelnem pismem, wypowiadający tęsknotę za Warszawą, świadczy, że blask i przepych naddunajskiej stolicy nie zatępił w pamięci jej wspomnień dziecinnych, powróci więc pewno kiedyś w strony rodzinne.

Z pociechą serca notujemy coraz częstsze dowody szczerego współczucia naszych młodych czytelników i gotowości ich do ofiar dla ubogich. W ich imieniu dziękujemy serdecznie za ich ofiary na kolonie letnie: Józii I. i Andzi O., Maryni K., Pliszce i Skowronkowi.

Rognieda S. żądając zmiany adresu nie dała dokładnego adresu stacyi, skąd pismo nasze dotąd odbierała.

Podobał nam się pseudonym „polnego kwiatka” przyjęty przez Marylkę K. Żądane dodatki powieściowe przesłane jej zostały.

Przyjmujemy chętnie konkursowe wypracowanie Wisienki.

Sabinka D. do ułożenia lamigłównki swojej użyła cudzoziemskiego, mniej znanego tu imienia, coby utrudniało odgadującym zadanie.

Szarady, logogryfy, kwadraty magiczne swego utworu nadesłali: Nadzieja, Wróbelek, Czeczotka i Jakób B.

Dobre rozwiązania lamigłównek nadesłali: C. L. Wróbelek, Czeczotka, Władysław L., Jakób B., Ibis, Nadzieja, Jedynak, J. Was., K. Fol, Eliasz M. C., Bratek polny, Nacia z Kalisza, Ludwik K.

Żywe Srebro skarży się na mnie, że spoważniałam, że odpowiem moje nie na tak wesołą jak dawniej nastrojone nutę. Cóż robić! czas na wszystkich i wszystkim piętno swoje odciska! Gdy nie jesteś już tem nie wymagającym łatwem do zadowolenia dzieckiem, jakim poznałam cię przed kilku laty. Nie przeczę dziesiątą iż zdanie twoje o mnie po części słusznem być może; jaskółki to wrażliwe bardzo stworzenia, nie znoszące ani zimnej atmosfery, ani nieprzyjaznego chłodu serca ludzkiego; niech jednak cieplejsze słońce przygrzeje, niech zazielenią się ogrody i pola, a przekonasz się jakim dziękczynnym głosem do Stwórcy odezwać się potrafię i jak szybkim lotem wzbiję się w górę ponad zawiści, przesady i niechęci tego świata.

Żałuję, Biała Lilijko, że nie mogłam razem z tobą uczestniczyć w przedstawieniu amatorskiem, ale sala teatralna nie jest miejscem odpowiedniem dla jaskółki. Przyjemniej nam będzie spotkać się gdzie w lecie pod cieniem rozłożystych drzew, lub na trawie bujnych łąk i wtedy ponowimy uścisk, jaki mi listownie przesłałaś.

Pliszce i Ołowi marszałkowi dziękuję za życzenia, a małej Isi donoszę, że lubo nie zasiadłam obok niej przy stolicku ze świeconem, niemniej szczerze dobrem słowem i życzliwym uczuciem, dzieliłam się myślą ze wszystkiimi młodymi prenumeratorkami Wieczorów.

Poziomka leśna i Skowronek dobre życzenie dobrym czynem poparłi, przysyłając na moje ręce datek dla dzieci na kolonie letnie. Szanownej korespondentce pani F. Ł. wdzięczna jestem za jej pamięć i nieustającą względność dla małej ptaszyny.

Ciesz się, że Jedynak z takim zajęciem czyta „Cudowną wyspę”, dziwi mnie tylko, że niecierpliwie wyczekuje końca, gdyż ja przeciwnie radabym zawsze, aby treść zajmującej mnie powieści, snuła się z pod pióra autora jak najdłużej.

Zapraszasz jaskółkę do siebie na lato Srebrna gwiazdeczko, pociągając mnie tam zarówno serdeczna gościnność twoja jak urok stron pięknych a nieznanych. Przyjemnie byłoby bujać nad łanami owej złocistej pszenicy z dobrą i uprzejmą Gwiazdką, okazującą tyle szczerzej życzliwości wdzięcznej jej za to

*Jaskółce.*